

zajmował w czasie pogrzebu. W stanowczości, z jaką Sweetwater zamknął drzwi za sobą, było coś, co gorąco poruszyło sędziego.

— Zrobiłeś pan jakieś odkrycie? — zapytał.

— I to bardzo ważne — brzmiała szybka odpowiedź.

Tu w kilku krótkich słowach detektyw opowiedział rozmowę swoją z żoną mechanika, mieszkającą nad głównym gościńcem.

— A teraz niech mi wolno będzie coś panu pokazać — dorzucił i zaprowadził sędziego przez pokój jadalny do bocznej sieni, gdzie przystanął u stóp schodów.

— Na górę? — zapytał sędzia z widocznym lękiem przed tem, co by tam mógł zastać.

— Nie — szeptem odpowiedział detektyw. — Tu mamy to, czego nam trzeba.

I popchnąwszy małe drzwiczki, otworzył małą komórkę pod schodami, w której wisiały jakieś dwa płaszcze i czapka dżokejska. Zdjął z kołka tę czapkę i trzymając ją do światła, pokazał plamę pod spodem denka.

Sędzia zadrżał, zobaczywszy tę plamę i obejrzał się bezradnie. Znał tę rodzinę przez całe życie, ojciec ich był najbliższym jego przyjacielem. Cóż jednak mógł powiedzieć wobec tego dowodu? Ta plama, był to ślad maki, w którym odróżnić było można zarys odcisniętego palca.

XIV.

POSTAĆ BEZ RUCHU.

— I płaszcz jest tu także — szepnął Sweetwater po chwili milczenia. Szukałem tego na wieszadle w sieni i w szafach w sieni i już myślałem że jestem na fałszywym tropie, gdy zobaczyłem te drzwiczki. Możebyśmy je teraz zamknęli, nieprawdaż? póki się pan nie zdecyduje, co robić z tym przedmiotem — tak bardzo przekonującym.

— Tak, zamknij je pan. Ja nie wiem, co się ze mną dzieje, Sweetwater. Nie jestem obcym człowiekiem w tym domu, ani dla tego nieszcześliwego rodzeństwa. Ach, czemuż ja przyjąłem ponowny wybór w zeszłym roku! Nie wiem jak ja to przeżyję, jeżeli...

Odwrócił się.

Sweetwater starannie czapkę z powrotem powiesił na kołku, obrócił klucz w drzwiach i z cicha poszedł za swoim zwierzątkiem do jadalnego, a stamtąd do tego pokoju, w którym dr. Perry pierwsi się znajdował.

— Będzie to prawdopodobnie okropna sprawa — odważył się powiedzieć. — Ale co robić... Fakta są faktami, a my musimy je zbierać. Czy mam iść dalej?

— Iść dalej?

— Tak iść za śladami, które mi pan sam poddał? Skończyłem dopiero z jednym; jest drugi...

— Te butelki?

— Tak, te butelki. Myślę, że i z tem mi się uda, jeśli mi tylko pan da trochę czasu. Obcy tu jestem w mieście i nie mogę działać tak szybko, jak miejscowy detektyw.

— Sweetwater, masz pan tylko jeden obowiązek, iść tak daleko, jak daleko ciebie te ślady zaprowadzą. Co do mnie i to również jest jasne, że winienem podtrzymywać cię we wszystkich rozsądnych wysiłkach i nie wstrzymywać się przed niczem, co może ocalić niewinnego, a na głowę winowajcy ściągnąć karę. Jednakże bądź pan ostrożny. Pomnij o wszystkim, co przemawia przeciw Ranelagh'owi. Będziesz pan musiał ukuć silny łańcuch dowodów, zanim zbijesz te poszlaki, na mocy których jego uwięziono. Widzisz... Ach, żeby to biedne dziewczę mogło odzyskać spokój! — zawołał porywczo, gdy znowu okrzyk „Lila! Lila!” rozległ się po domu.

— Ona nigdy nie odzyska spokoju — szepnął Sweetwater. — Jakby wyglądała prawda, ona będzie musiała cierpieć, gdy do rzeczywistości się zbudzi. Czy pan się zgadza z reporterami, że ona wiedziała, dlaczego i w jakim celu nieszczęsna jej siostra wyszła z domu owej nocy?

— Jeżeli nie, to skądżesz ta gorączka?

— To prawda.

— Ona — ciągnął sędzia dalej, z naciskiem — ona jedynie niewinna jest zupełnie w całej tej sprawie. I na jej życiu wszystkim zależy... Ale z nim trzeba działać ostrożnie, spokojnie, panie Sweetwater. Spokojnie i napozór z szacunkiem, stosując się do jego życzeń, jako obecnej głowy domu.

— Czy ten dom do niego należy? Czy Miss Cumberland zrobiła testament?

— Testament jej otworzony będzie jutro. Jak na dziś, uważać tu należy Artura Cumberlanda za pana domu.

— Zastosuję się do tego, panie sędzio, ale nie sędzę, żeby nam z jego strony groziły jakie trudności. Obecność nasza wcale na nim nie robi wrażenia. Zdaje się, że myśli o tem jedynie, co siostra w gorączce swej powiedzieć może.

— Tak pan się na to zapatruje?

Sędzia powiedział z tonem zasmuconym. Po chwili milczenia zaś dodał:

— Każ pan zająć mojemu powozowi, panie Sweetwater. Ja tu nic więcej dzisiaj zrobić nie mogę.



Karmela uniosła się z nad poduszek i siedziała teraz, patrząc prosto przed siebie.

Atmosfera tego domu przygniała mnie. Zwiędłe kwiaty, zgasłe nadzieje i coś gorszego, niż śmierć, nadciągające z przyszłości... Przypominam sobie starego przyjaciela mego — to było jego biurko, przy którym siadywał. Pójdźmy stąd!

Sweetwater otworzył drzwi, ale zamyślony jego wzrok nie uszedł uwagi starszego człowieka.

— Nie jest pan gotów jeszcze? Życzyłby pan sobie dom przeszukać?

— Naturalnie.

— Już go tak ogólnie przekonano.

— Ale ja bym to chciał zrobić szczegółowo.

Sędzia westchnął.

— Nie powinienem stawiać panu na przeszkodzie. Postaraj się pan o upoważnienie od policji, a będziesz pan miał prawo. Ale pamiętaj pan o tej chorej dziewczynie.

— Dlatego właśnie chciałbym to sam zrobić.

— Dobry z ciebie człowiek, panie Sweetwater. Wychodząc, zaś dodał:

— Polegam na panu, że zrobisz to cicho i niezauważalnie, a otwarcie i z wiadomością wszystkich, jeżeli będzie potrzeba. Te klucze mają tu swoją wymowę, te klucze i ta czapka. Gdyby te klucze znalazł w domu klubowym, a czapkę bez tego znaku, którym ją ręka żony maszynisty nacechowała, szanse

Ranelagh'a byłyby równie niepomysłne, jak w pierwszej chwili po wypadku. Ale tak, jak rzeczy stoją, może on spać spokojniej dzisiejszej nocy; nad jego przyszłością rozprasza się chmura.

Czyż to nie dowód, że my biedni śmiertelnicy tak mało wiemy, co spójność stanowi tych nawet, co nam są najbliżsi, których życie i których serca czytać musimy, jak otwartą książkę?

Po wyjściu sędziego Sweetwater udał się do pokoju, w którym po raz ostatni widział Cliftona. Pokój był pusty, a Hexford objaśnił go, że prawnik już poszedł. Rad był temu; czuł, że ma teraz wolne pole przed sobą; a dowiedziawszy się, że powozy z pogrzebu nie wrócą, jak za kwadrans, poszedł za Hexfordem na górę.

— Chciałbym mieć pańskie prawa — zauważył, gdy wychodzili na piętro.

— Cóżbyś pan zrobił?

— Poszedłbym do sieni i przyjrzałbym się dobrze wszystkiemu.

— Tak?

— Chciałbym zobaczyć tę dziewczynę i przyrzec się bratu, ale tak, żeby się on nie domyślał, iż ktoś na niego patrzy.

— Dlaczego chciałbyś pan widzieć dziewczynę?

— Sam nie wiem. Ot tak, z ciekawości. Słyszałem, że to cud piękności.

— Dawniej w istocie.

— A teraz już nie?

— Trudno to powiedzieć. Zawiazano jej twarz pod opatrunkiem. Upadła na kratę kominka i poparzyła się.

— Ależ to okropna szkoda, jeżeli była tak piękna!

— Prawda, że szkoda, ale jest w tem coś gorszego jeszcze. Ciekaw jestem, co też miał znaczyć ten dziki jej krzyk: „Otwórzcie! Przekonajcie się, czy serce jej jest tam!” Co każe otwierać? Czy trumnę?

— Naturalnie. Cóżby to innego oznaczać miało?

— No, majaczenie w gorączce to jest dziwna rzecz; gdy się tego słucha, ciarki człowieka przechodzą. Nie będę tutaj mógł sypiać, myślę.

— Hexford, pomóżcie mi, zróbcie tak, żebym ja tam mógł zajrzeć. Mam trudne zadanie przed sobą i potrzeba mi do tego pomocy.

— O, to nic trudnego. Idźcie tylko śmiało, on nie zauważy.

— On nie zauważy?

— Nie. On niczego nie widzi, co nie dotyczy pokoju chorej.

— Rozumiecie.

Twarz Sweetwata przedłużyła się, ale przy ostatnich słowach spojrział znów raźnie.

— Nasłuchuje, co?

— Tak... jeszcze nie widział, żeby kto słuchał w ten sposób.

— Tak, jak gdyby czegoś oczekował?

— Tak. Zdawałoby się, że wyczuje czegoś.

— A czy pielęgniarka wie o tem?

— Pielęgniarka jest to osoba zagadkowa.

— Jaki?

— To na pół pielęgniarka, a na pół... ale idźcie i przekonajcie się sami. Tu jest paczka do zanieśienia — lekarstwo z apteki. Powiedźcie jej, że nie miał tego kto zanieść. Nie zdziwi się wcale.

Podziękowawszy, Sweetwater pochwycił podaną sobie paczkę i spieszenie poszedł przez sieni. Już przedtem zaszedł tu aż do zakrętu, ale teraz minął zakręt i znalazł tak, jak się spodziewał, zamknięte drzwi po lewej i otwartą alkowę po prawej stronie. Drzwi prowadziły do pokoju Miss Cumberland; alkowa, półokrągła i oświetlona kilku oknami, miała widok na stajnię i na wielkie drzewo sykomorę, rosnące obok stajni.

Sweetwater w zamyśleniu potarł ręką brodę, widząc to i wyrazisty zarys postaci człowieka, który tę alkowę zajmował. Nie mógł dojrzeć jego twarzy, gdyż przechylona była nad stołem. Jednakże ta spuszczona głowa, aż zeszytywniała w rozpaczliwym rozmyśleniu, ta zwisająca ręka, oparta o szyjkę butelki, której jednak nie podnosiła, zrobiły na nim wrażenie, którego nic potem zatrzeć nie zdołało.

— Gdy wrócę, już połowa tego whisky będzie wypita — pomyślał i zaczął, czy też szklaneczką będzie nalana i pierwszy łyk przełknięty?

(Dalszy ciąg nastąpi).